

Michał Jaworski

Jeszcze o muzyce lekkiej w radio

Spowodu artykułu p. M. Kondrackiego, poświęconego muzyce lekkiej w naszych programach radiowych (w poprzednim numerze „ABC radiowego”), otrzymaliśmy od kierownika referatu muzyki lekkiej w wydziale muzycznym Polskiego Radia p. Michała Janowskiego uwagi, które w myśl zasady „audiatu et altera pars” w całości ponizę zamieszczamy. Wobec wywiązania się polemiki, zastrzegamy oczywiście p. Kondrackiemu prawo odpowiedzi w numerze następnym.

W ostatnim „ABC” radiowym ukazał się artykuł p. Michała Kondrackiego, który wśród wielu nieścisłości pisze, mówiąc o programach radiowych: „Trzeba wzmocnić, ulepszać, podnosić, dźwigać poziom programów, robić ścisłą selekcję...”

Zupełnie słusznie; trzeba jeszcze krzepić, dążyć, usiłować, zabiegać, starać się i t. p. Ale trzeba jeszcze, jeśli się o radio pisze, tego radia słuchać, przegłądać jego programy, zasięgać nawet informacji, a wtedy krytyka, choćby umienna, jak to często ma miejsce, będzie rzeczowa i sumienna.

Zajmijmy się jednak nieścisłościami p. Kondrackiego. A więc najpierw co to jest muzyka lekka? p. Kondracki powiada, że to Lehar i Oskar Strauss (dlaczego nie Johann?) i inni znakomici „z tej branży kompozytorów”, dalej — jazz Whitmana i Hyltona oraz morze pieśni ludowej. I na tem mniej więcej koniec — powiada p. Kondracki.

Na szczęście nie koniec. Muzyka lekka, to przedewszystkiem do bre utwory dobrych kompozytorów, przeto utwory o wyraźnych rytmach i zdecydowanym nastroju, od tanecznego do romantycznego, czy też sentymentalnego, a więc muzyka przystępna dla niewykształconego ucha. Będzie to część twórczości Griega, Moniuszki, Schumanna, Chopina, Beethovena, aż do współczesnych kompozytorów. Charakter utworu zależy często od nastroju i stroju, w jakim go słuchamy, np. „Ku wiosnie” — Griega, Mazur z „Halki”, „Menuet” Paderewskiego, „Moment Musical” — Schuberta itd., można by tak wylać aż do znużenia. „Branża” kompozytorów muzyki lekkiej znacznie się w ten sposób rozszerza, a to dla tej prostej przyczyny, że o charakterze utworu decyduje on sam, a nie klasyfikacja kompozytorów.

Co do Whitmana i Hyltona — byli to kierownicy zespołów, a nie kompozytorzy, a nawet nie instrumentatorzy (t. zw. aranżery). Obaj mieli szereg stałych aranżerów i obaj poszli dziś w zapomnienie. Pozostało po nich, a raczej tylko po Whitmanie, kilka

„kawałków” pomysłowo zinstrumentowanych i wykonanych, co, jak wiadomo, jest głównym obok rytmu elementem jazzu.

Wartość w sztuce można mierzyć trwałością dzieła w czasie. Jazz wnosi do muzyki wyłącznie świecidełka, a nie prawdziwe brylanty, a wiemy przecież, że publiczność, jeśli chodzi o świecidełka, domaga się stale nowych. Pisząc w r. 1935 artykuł nie można operować starymi świecidełkami.

Twierdzenie, że pieśń ludowa, to muzyka lekka, jest ostatnim fragmentem nierozważnej, a może tylko niedbałej, klasyfikacji.

Kilka słów należy się Goldom i Petersburskim. Tak w muzyce, jak i w każdej innej dziedzinie sztuki, istnieje odciśnięcie „twórczości”, który nie da się mierzyć jakimś sprawdzianem wartości. Są to „dzieła” o przelotnej, wyłącznie użytkowej, wartości. Można i trzeba to plenić, ludzie jednak zawsze mniej lub więcej garnęli się do bzdury. Jest to objawem znanym w historii, następującym po wszelkich kataklizmach czy przewrotach. Jesteśmy już świadkami odwrótu, ale bez grzechu się nie obejdzie. Ci sami moralisci w jednej dziedzinie muzyki grzeszą w innej. Życzyć im należy, aby utwory ich miały takie po wrodzenie, jak „Donna Klara” (Tango Milonga) — Petersburg-

skiego, grane dosłownie w całym świecie (Hylton też!). To nie obrona, to tylko fakt. P. Kondrackiemu trzeba wyjaśnić jeszcze jedno: nie można wylać Katarzki i Golda razem z Namyśłowskim. Daj Boże, aby wielu z nas umiało tak instrumentować, jak to robił Namyśłowski, którego technika instrumentatorska da się porównać z opanowaniem rysunku w malarstwie. Oczywiście nie trzeba tego brać dosłownie, lecz z uwzględnieniem miejsca, czasu, stylu, czy też rodzaju.

Drogą zalecaną przez p. Kondrackiego selekcji, Polskie Radio, po mozołnych próbach, zorganizowało własną orkiestrę dla muzyki lekkiej; prowadzi ją niewątpliwie najzdolniejszy w tej

dziedzinie kapelmistrz Zdzisław Górzynski. Orkiestra składa się z doskonałych 12-tu muzyków, uczniów naszych wybitnych pedagogów (prof. Michałowski, Jarzębski, E. Kochański). Ale wtedy p. Kondracki pisze: „Utworzono własne, domorośle zespoły...”. Czyż można to nazwać inaczej, jak niesumiennością krytyka?

O tytułach utworów niema co dyskutować. Jeden woli „Blondinę” czy „Dziewczynę o lśniących włosach”, jeden uznaje „Modlitwę i taniec księżniczek”, innemu wystarczy „Panna sklepowa”, jedni wolą „Żołnierzy”, inni „Marsza gładziatorów”.

Wniosek: Krytyka jest dobra tylko wtedy, gdy jest rzeczowa i sumienna.

Z anten całego świata

Radiorowe egzaminy z muzyki w Nowej Zelandii. Kolegium św. Trójcy w Londynie, jak również Zjednoczone Szkoły Muzyczne, delegują co roku do Nowej Zelandii egzaminatorów do przeegaminowania kandydatów, ubiegających się o stopnie, jakich uczelnie te szkoły. Ponieważ corocznie kilka tysięcy dzieci w Nowej Zelandii staje do tych egzaminów, przeto radio Nowej Zelandii zorganizowało tytułem próby serię 15-to minutowych audycji, nadawanych co tygodnia w obrębie programu dla młodzieży, na których występują wybitni pianiści. Wykonują oni te same

utwory, które są wymagane przy egzaminach. Jakkolwiek powodzenie tych audycji było mniejsze, niż pogadankę dokształcających, to jednak radio zamierza te audycje w przyszłym roku powtórzyć.

Telewizja w NBC. Wkrótce ma być zbudowane w Hollywood największe z dotychczas egzystujących studio telewizyjne. Będzie ono własnością NBC, której przewodniczącym, mr. Aylesworth, obejmie kierownictwo nowego studia.

Telewizja w Australii. W Australii założono towarzystwo „Television Australia Ltd.”, z kapitałem 100 tys. funtów. Spodziewane jest jeszcze w tym roku otwarcie stale funkcjonującej stacji nadawczej. Rząd udzielił już zezwolenia na nadawanie programów telewizyjnych. Dotychczasowe emisje polegały na przesyłaniu filmów niemych, którym towarzyszy muzyka synchronizowana.

Berlin zaczyna nadawać telewizję. W piątek dnia 22 marca dyr. Hadamowski dokonał uroczystego otwarcia pierwszej nadawczej stacji telewizyjnej, w obecności przedstawicieli władz, przemysłu i pracy. Jeden z mówców z ramienia radia niemieckiego zaznaczył, że dokonywa się w Berlinie to, co Anglia projektowała w sobie na jesień r. b. Przedstawiciel Ministerstwa Poczty stwierdził, że abonenci radia mają prawo odbierać emisje telewizyjne bez specjalnej dopłaty. Dyr. Hadamowski oświadczył, że przewidywane jest wypuszczenie na rynek większej ilości dostępnych odbiorników telewizyjnych w sierpniu, równocześnie z wystawą radiową. Stwierdził, że ilość odbiorców emisji telewizyjnych w Berlinie wynosi obecnie paręset osób.

Następnie w obecności około 120 osób został nadany pierwszy program telewizyjny; do użytku gości zaistniało na sali 7 odbiorników. Ten pierwszy program najprzód powtórzył część przemówienia dyr. Hadamowskiego oraz depesze wystosowane do Hitlera. Następnie nadano film, który przedstawia Hitlera przy różnych czynnościach w ciągu dnia. Potem nadano film firmy Ufa z dziedziny kultury, wreszcie na zakończenie film Ury humorystyczny.

Emisje otwartej w ten sposób stacji telewizyjnej Berlin — Witzleben składają się z obrazów na 180 lin-

Program, otwarty głośnik i sąsiedzi
Radio na obczyźnie

MATEUSZ: Jak się masz Alfie. Ale jak ty możesz wytrzymać z ciągłym rykiem tego bydlęcia! Wyłącz go!

ALFRED: Drażni cię to, Mat? Mogę wyłączyć, choć... może postuchasz — właśnie zapowiadają nową płytę.

MATEUSZ: Ostatecznie...

ALFRED: Rozumiem cię zresztą doskonale. Sam nie masz radja i...

MATEUSZ: Zato moi sąsiedzi mają jakiś potworny gigantofon. Można się było wściec — prawie nigdy go nie zamykali.

ALFRED: Otóż to właśnie — sąsiedzi. Do sąsiadów ma się zawsze pretensje, a dźwięki głośnika zza ściany, spod podłogi czy z nad sufitu robią zawsze wrażenie intruza. Zniekształcone odgłosy tworzą pretensjonalny, natrętny hałas.

MATEUSZ: Mój drogi, coż za różnica? Własny głośnik jest chyba tylko bardziej dokuczliwy, bo przecież głośniej rzezy.

ALFRED: No, można go przecież ściszyć i można w każdej chwili wyłączyć. Już samo poczucie władzy nad nim daje tę satysfakcję, której brak jest jednym z głównych składników irytacji na głośnik sąsiadów.

MATEUSZ: Nie, Alfredzie, jeśli chcesz w ten sposób namówić mnie do zaprowadzenia u siebie tego barbarzyńskiego wynalazku, to się niepotrzebnie trudzisz. Mam wstręt do radja. Jeszcze słuchawki dla wysłuchania jakiejś poszczególniej audycji — mogę zrozumieć. Ale głośnik?

ALFRED: Słuchaj Mat, przecież ty ciągle przesiadujesz po kawiarniach, lubujesz się poprostu w tej atmosferze gwaru rozmów przy sąsiednich stolikach, nie zwracasz uwagi na rzepolemie orkiestry i to wszystko nie przeszkadza ci wcale — ba, nawet ci dodaje animuszu — w przeprowadzaniu rozmów i czytaniu czasopism. Nawet zdaje się piszujesz przeważnie przy stolikach kawiarnianych?

MATEUSZ: Tu niema żadnego potrawiania. W kawiarni szukam albo towarzystwa ludzi, albo samotności wśród tłumy, którego gwar jest czemś nieosobistym i nienarzucającym się.

ALFRED: No, widzisz, to już widocznie jest kwestia przyzwyczajenia. Dla mnie głośnik tworzy właśnie takie nieosobiste tło akustyczne —

jach, co odpowiada 40.000 punktów: duży stopień udoskonalenia, jeżeli zauważymy, że pierwsze doświadczenia wykonywane przy 30 linjach — 1200 punktów.

Zmontowany wozy, zaopatrzone, obojętnie reporterskich aparatów mikrofonowych w kompletne urządzenia dla chwytania obrazów telewizyjnych w terenie. Wóz taki z przydzielonym autem, zaopatrzonym w aparaty oświetlające, chwytają i nadają aktualne wydarzenia, które, w formie synchronizowanej, mogą od razu być nadawane przez rozgłośnie. W ten sposób „Echo dnia” przeobrazi się na pewno wkrótce w „Zwierciadło dnia”.

przeważnie. Oczywiście czasami mnie coś zainteresuje i wtedy słucham; nieraz mnie coś zniecierpliwi — wówczas zamykam głośnik, ale naogół...

MATEUSZ: Mój drogi, masz przecież program, możesz sobie wybrać ostatecznie te audycje, których chcesz wysłuchać, jeśli już żyć bez radja nie umiesz.

ALFRED: Program... Jak to zaraz widać, że nie jesteś radjostuchaczem. Wybieranie z programu to jest piękna teoria, ale trzeba ją wprowadzić w czyn, żeby się przekonał o jej ułomności. Onegdaj naprzykład chciałem wysłuchać — według programu — kilku płyt muzyki góralskiej. Ale oż, program się zmienił i o danej godzinie nadawano jakąś zupełnie mnie nieinteresującą transmisję, którą dyrekcja programowa uważała widocznie za ważniejszą od owych dla mnie ciekawych płyt.

Zresztą wybrana z programu audycja może zawsze przynieść rozczarowanie, nie dać tego, czegośmy się po niej spodziewali. Nie znaczy to, że bym nigdy nie słuchał według programu (jak świadczy ta przygoda z płytami Mierzezińskiego), ale zapamiętałem sobie na ten system. Program jest do pewnego stopnia loterią — nie każdy, najpikantniejszy nawet zapowiadający, numer wygrawa. Lepiej słuchać możliwie wszystkiego, a raczej mieć otwarty głośnik i wylawiać rzeczy interesujące z tej nieustającej powodzi dźwięków.

MATEUSZ: Nie, Alfie, na to nie mogę się zgodzić. Wystłuchiwać stęku bredni i tandety muzycznej, żeby znaleźć w tem od czasu do czasu jakieś zdrowe ziarno, bez którego ostatecznie nie zubożałbyś kulturalnie w sposób zbyt dotkliwy? Nie, to nie ma sensu.

ALFRED: Chcę podjąć twój sposób zaprzeczania się na to, żebyśmy jednak doszli do porozumienia. Więc słusznie, program jako całość zawiera sporo — za wiele — bredni i tandety. Ale to jest choroba bardziej powszechna i polega na tem, że obszerne miejsce czy dłuższy czas przeznaczony na coś — trzeba koniecznie wypełnić, a ilość rzeczy wartościowych, które się rozporządza, jest ograniczona, więc się „watuje”, żeby nie było pustych miejsc. Weź choćby jakąkolwiek gazetę, tylko widzisz — gazetę możesz przejrzeć i przeczytać to, co uważasz za wartościowe. Ja właśnie w ten sposób traktuję otwarty głośnik — słyszę, wszystko, ale puszczam mimo uszu, a wysłuchuję tego tylko, co mi odpowiada.

MATEUSZ: Jeśli to tylko potrafiś robić... Ale co na to twoi biedni sąsiedzi?!

ALFRED: No, nie nadużywam siły swojego głośnika. Nie skarżę się. MATEUSZ: Życzę ci, żeby tak było i nadal. W każdym razie nie zazdroścę im. Swojego gigantofoniarza już trochę poskromiłem. Bądź zdrow, umówiłem się w kawiarni...

Gaska.

Z tygodnia

Może należałoby zacząć tym razem znowu od omówienia konferencji prasowej, odbytej w Polskim Radju w ubiegły piątek, która poświęcona była omówieniu programu wiosennego, a w szczególności zamierzeń naszej radjofonji w kierunku propagowania kultury muzycznej przez odpowiednie popularyzowanie wybitniejszych utworów. Skoro jednak już horyzont naszej kolumny radiowej „zaniosło” właśnie sprawami programu muzycznego i to na trzy tygodnie, muszę chwilowo zrezygnować z tego tematu, aby nie spotkać się z zarzutem czytelników, że „ABC radiowe” staje się tygodnikiem muzycznym.

Ograniczmy się więc do zarejestrowania, że tydzień ubiegły zakończył się trzema pięknymi audycjami muzycznymi (w ubiegły poniedziałek piąty koncert z cyklu historycznego muzyki polskiej, w którym wzięli udział już w wiek XVIII-ty, w piątek Robert Casadesus w Filharmonji, a w sobotę wspaniała transmisja „Fausta” z La Scali), nie mówiąc już o innych, także wartościowych, któ-

rych wylać nie będę. No i dodajmy mimochodem, że w chwili, gdy te słowa piszę, „odchodzi” koncert muzyki lekkiej p. t. „Coby było gdyby...” z konferencją p. T. Frenkla. Musiałem wyłączyć głośnik, bo mię denerwował i przejsz do słuchawek, zakładanych od czasu do czasu — ale i słuchawki musiałem odłożyć. I z ulgą odetchnąłem, gdy wreszcie p. Bocheński zaczął swoim balsamicznym głosem nadawać dziennik muzyczny. Ten balsam należy rozumieć zupełnie dosłownie i bez akcentów jakiegokolwiek ironji: przyniósł naprawdę ukojenie...

Napisałem szczerze, jak, co i w jakich warunkach. Może nie byłam odpowiednio „nastrojony”, aby tej „lekkiej” audycji wystąpić? A może jednak i na wielu innych słuchaczach w zupełnie normalnych warunkach, te wysyłane dźwięki jako okrasa do muzyki, sprawiają opaczne wrażenie? Bo sądzę, że chyba jedno z dwojga: jeśli jeszcze jedna więcej audycja humoru, to poco jej muzyka — a jeśli muzyka, to poco ją tak obficie polewać tym ma-

jonezem? Przecież to powinna być godzina wesołej, milej, spokojnej rozrywki — wytchnienia, a w takim podaniu mają się zupełnie z celem.

Sprawę humoru rozwiązują już bardzo dobrze audycje na to przeznaczone i z przyjemnością słuchało się zarówno ostatniej lwowskiej fali, jak i śródmiejowych skeczów. Zdaje się, że po wielu eksperymentach zeszłego roku, nieważne udanych, trafiamy już na właściwą w tym kierunku drogę.

Kto jeszcze nie znał „Rekina” ze świetnym monologiem Jaracza, ten miał jedną z przyjemniejszych sensacji radiowych, gdyż jest on naprawdę nieporównany i kto wie, czy nie lepszy jeszcze tym razem niż pierwszy nadawany tego słuchowiska, o czym już w swoim czasie pisałem.

We fragmentach teatralnych nadano ostatnio część aktu trzeciego z granej w teatrze Nowym „Maszyny piekielnej” Jana Cocteau. Nie mogę zgodzić się z wyobrem, jakiego dokonano, aby propagować wśród radjostuchaczy tę sztukę, bo wybrano akurat scenę

patetyczną. A jeśli już T. K. K. T., ze względów zapewne kasowych, nie puściły tej sztuki na scenę wielką, na której byłoby jej właściwe miejsce, to nie wynika z tego jeszcze, aby radio — jako teatr par excellence — chyba kameralny — powtarzało ten sam błąd i słuchaczom dawało fragment, wcale nie odznaczający się zbytnią radjofonicznością. A przecież są tam bardzo piękne sceny aktu drugiego, między Edypem a Sfinksiem.

Dobry pomysł miało Wilno, przeznaczając swoją ostatnią stronę Mickiewiczowską na odtworzenie słuchowiskowej jednej z improwizacji wieszczą (choć w wykonaniu głos Adama nie dawał słuchaczowi odpowiedniej wizji, zamalał w nim było ciepła i siły).

Wreszcie, skoro jesteśmy przy „żywem słowie”, chciałbym poświęcić parę słów świeżo właśnie wydanej przez Polskie Radio broszurze, zatytułowanej „Wskazówki dla prelegentów radiowych”, w której podano cały szereg recept, jak układać prelekcje, jak je wygłaszać i t. p.

Broszurka zawiera wiele uwag ciekawych, wprawdzie nie wol-

nych od pewnej chaotyczności (mam na myśli końcowe wskazówki), mogących jednak w niejednym wypadku przynieść pewien pożytek — ale nie mam pewności, czy utrafiła ona w swój cel właściwy.

Bo zdaje mi się, że tak jak nie można teoretycznie nauczyć nikogo czy to sztuki aktorskiej czy np. pisania w stylu „dziennikarskim” (bo te rzeczy trzeba mieć w sobie), tak i recepty na układowanie prelekcji radiowych i ich wygłaszanie będą zawsze do pewnego stopnia tylko teorią. Można tu oczywiście różne formować reguły, ale bodajże najwłaściwiej będzie, jeśli powiemy krótko: prelegent radiowy (jak wogóle każdy, kto do mikrofonu przystępuje z „żywem słowem”) musi przede wszystkim mieć dar, dar wyobraźni, a potem musi naprawdę mówić z przejęciem. To są dwa warunki, najistotniejsze, podstawowe.

Dar wyobraźni — to umiejętność przedstawiania sobie tego niewidzialnego audytorjum i nawiązania z nim kontaktu. Prelegent bojący się, że go nikt nie słucha — prelegent mówiący, jakby był na wiecu — prelegent

traktujący swój temat choćby naj-mądrzej, ale w sposób zbyt „profesorski” — o wiele gorszy osiągną efekt niż gdyby uświadamiali sobie, że są właściwie gośćmi w całym szeregu prywatnych domów i mówią przeważnie do poszczególnych ludzi.

Mówienie zaś z przejęciem — to dawanie słuchaczowi własnej duszy, to najlepsza recepta na to, aby nawiązawszy z nim kontakt zdobyć także jego zaufanie. Choćby to był głos drewniały i „nieradjofoniczny”, potrafi wzruszać, przekonywać, staje się bliskim — spełnia to, czego od radja oczekujemy. Niema zaś większego wroga „radjofoniczności” nad sztuczność.

Ostatnio zapanowała jakby moda na specjalne krytykowanie prelegentów i na wynajdywanie w nich najrozmaitszych defektów. Ale to jest droga, którą można zająć do wyników zupełnie fałszywych. Jeśli coś jest istotnie zajmujące — choćby dla tego tylko grona, dla którego jest przeznaczona — ma swoją rację bytu mimo pewne indywidualne braki formy. Jeśli zaś jest robotą wymczone, podawaną w fabryczny sposób — chybia efektu i celu.

Marian Grzegorzczak.